



Była piąta czterdzieści nad ranem, kiedy obudził mnie silny podmuch wiatru. Jednak gdy podszedłem do okna, ku mojemu zdumieniu spostrzegłem, że gałęzie wcale się nie poruszały, a niebo przypominało tafłę świeżo zahartowanego szkła. Nie zdążyłem przetrzeć oczu, gdy zadzwonił telefon. Wytrwale świdrował zmysł słuchu. Spojrzałem na ekran smartfona. Wyświetlił się numer Igi. Już od kilkunastu dni nie miała siły z nikim rozmawiać, więc w jednej chwili zrozumiałem, że to jeden z tych telefonów, których chciałoby się odbierać w życiu jak najmniej, jeśli w ogóle.

Stach, mąż Igi, starał się być opanowany i rzeczowy.

– Odeszła przed chwilą.

Od dwóch tygodni sypiał przy niej na dostawionym osobnym łóżku. Jeden koniec tasiemki przywiązywał do przegubu jej dłoni, drugi do swojej. Kiedy tylko w nocy gwałtowniej się poruszała, od razu budził się i mógł sprawdzić, czy nie trzeba było zwilżyć jej ust, poprawić poduszki lub wymienić wypełnionego moczem worka.

– Umarła, gdy wyszedłem się wysikać – powiedział do słuchawki tak cicho, jakby nie chciał obudzić leżącej tuż obok żony, jakby nie chciał, by ktokolwiek o tym końcu końców usłyszał.

Byłem pierwszą osobą, którą powiadomił.

– Do rodziny zadzwonię później. No, odeszła... – Rozpłakał się. – Odeszła sobie...

Zapewniał, że umarła z uśmiechem na twarzy, chcąc dać mi tym samym do zrozumienia, że nie cierpiała.

– Umarła w ciszy.

– Co?! Nie usłyszałem...

– Nic. Kończę.

Odłożył słuchawkę. Usłyszałem ciszę. Brak słów.

Igę zdążyłem odwiedzić kilka tygodni przed śmiercią.

Była wczesna jesień, ciepła i pogodna, jak to zazwyczaj bywa we wrześniu nad Bałtykiem, gdy masy ogrzanych słońcem wód oddają powietrzu swoje ciepło. Spędziliśmy razem kilka niewyobrażalnie znaczących dla mnie... dla nas dni. Byliśmy ze sobą naprawdę razem, w taki sposób, kiedy jeden człowiek rzeczywiście istnieje dla drugiego, bez ograniczeń czasu, bez myślenia o tym, co się wydarzy teraz, co potem, co trzeba zrobić, a czego nie. Rozmawialiśmy o jej chorobie, ale też o życiu, tym przeżytym życiu, o buddyźmie, o religii w ogóle, o jej sensie, o znaczeniu modlitwy, o znaczeniu wszystkiego, czego dane jest nam doświadczać. Iga nie straciła poczucia sensu mimo od początku byle jakich rokowań. Co prawda lubiła kwestionować to, co wydawało się jej wraz z rozwojem choroby zbyt okrutne i dość podejrzanе, jak los, fatum, karma,

genetyka. Skąd to cierpienie? Oczywiście, że nie pytaliśmy o to wprost, zdając sobie sprawę, że to pytanie nieadekwatne w kontekście uznania faktu współzależności zdarzeń i zjawisk. Pomiedzy wierszami, mimo grozy choroby, dawało się wyczuć niewytlumaczalną miłość do świata, do wszelkich istnień, miłość, którą Iga objęłaby nawet własną matkę, tę samą, która przez całe życie powtarzała jej, że jest najgorszą z córek, jej życiową porażką.

Znałem niemal na pamięć opowieści Igi o traumach, niechęciach i zawodach ze strony tych, którzy – zdawało się – powinni kochać ją bezwarunkowo. Jej życie było pasmem przedziwnych okoliczności i mrocznych uwikłań, których nigdy nie miała okazji ani rzetelnie rozpoznać, ani zaleczyć. Co więcej, nie uświadamiała sobie nawet, że w ogóle jest to możliwe.

Pamiętam, jak któregoś dnia – wtedy już wiedziała, że drzemie w niej ten, co ma szczypcę i chodzi do tyłu, otrzymała już ostateczny dowód w postaci wyników histopatologii – nie wytrzymałem i wybuchnąłem tonem kategorycznym i mało przyjaznym: „Idź do terapeuty, jesteś totalnie uwikłana, żyjesz w jakimś idiotycznym związku z facetem, który w ogóle cię nie kocha, lama ci tu nic nie pomoże ani religia! Tylko się oszukujesz! I będziesz tak utyskiwać do usranej śmierci!”.

Zaperzyła się. Zaczerwieniła. Była na mnie wściekła. Po chwili stwierdziła, że medytacja jej wystarczy, że ma coś do zrobienia, że kotom musi wymienić żwirki w kuwetach, i w końcu parsknęła, żebym się wynosił.

Była Iga, był rak i byłem ja.

Przez kilka miesięcy nie odbierała moich telefonów. Z początku wydzwaniałem niemal codziennie. Potem odpuściłem. To przecież nie ja byłem obrażony. Nie miałem wpływu na jej emocje. Można się komuś przydać tylko wtedy, gdy ktoś woła o pomoc. W końcu to o nią rak się upominał, nie o mnie, na jej życie dybał, nie na moje –

takie myśli kotłowały się we mnie i nawet nie starałem się ich oceniać. Jak każdy miała prawo do własnych emocji, nawet tych najbardziej ekstremalnych, których nie musiałem rozumieć ani też przyjmować. Konsekwentnie nie chciała ze mną rozmawiać. Znajomym powiedziała, że ją obraziłem, uraziłem, że jestem podły. No dobra, powiedziałem jej jeszcze coś. Kurwa, któregoś dnia nie wytrzymałem. Powiedziałem, że jej mąż jest gejem, a co najmniej biseksem, i to z tego powodu nie sypiał z nią od lat. I żeby przejrzała na oczy i przestała się oszukiwać, a przede wszystkim przestała dawać się oszukiwać jemu. Chyba się tego nie mówi swoim dobrym koleżankom ani tym bardziej przyjaciółkom... Nawet jeśli całe miasto o tym huczy? A może właśnie trzeba? Cienka sprawa. Dosłownie zatrzęsła się, gdy jej „zasugerowałem” taką ewentualność. Nie to, że była homofobką, że miała coś przeciwko gejom. Jednak myśl, że akurat jej mąż, wybranek życia, mógł ją zdradzać z facetem, napawała ją wstrętem. Myślę, że głównie do samej siebie. Może się tego domyślała? Jednak jeśli nawet tak było, ukryła to przypuszczenie w pudle po butach i wstawiła do piwnicy w najbardziej ciemnym kącie. Była pod tym względem idiotką. Wszyscy wiedzieli, że jej Stach miał kochanki i... kochanków. Małe portowe miasto, w którym każdy wie, kto jest kurwą, kto filantropem, kto złodziejem, a kto kapitanem żeglugi wielkiej. Każdy, prędzej czy później, dowie się, kto z rejsu przywiózł kupę hajsu, a kto kiłę. Jednak żony nie chcą dopuścić do głosu żadnych prawd, które mogłyby zburzyć kopernikański ład ich z trudem poskładanego wszechświata. Żony tych pływających ani żony tych pracujących na lądzie nie łakną prawdy bolesnej, tym bardziej, gdy do gry wkracza rodzina ze swoimi oczekiwaniami i dobrymi radami; rodzina, która tylko czyha na okazję, by rzucić to swoje sakramentalne: „a nie mówiliśmy?”.

Choć Stach nie pracował jako lekarz na statkach, ale w miejskim szpitalu, matka Igi nie znosiła go i miała jak wszystkich innych mężczyzn za łajdaka. Matka Igi. To dopiero postać! Staroświecka pani z dumą nosząca swoje siwe włosy mocno ściągnięte w kok, sztywny i sterczący jak penis Priapa. Przekuwała go drewnianą szpilką, która cudem tylko nie przebijała jej mózgu. Już samo jej spojrzanie, surowe i trupio zimne, było wystarczającą karą dla tego, kto śmiał podnieść na nią wzrok. To typ kobiet, które samą swą obecnością wymierzają karę chłosty, z lubością używając sformułowania: „bez dyskusji” i „absolutnie”, za nic w świecie nieznoszące, gdy ktoś im przerywa, nawet wtedy, gdy milczą. Jednym słowem, wiał od niej smutek obłądnej starości, na który każdy, kto wykazuje choć odrobinę empatii, wznosił wewnętrzny okrzyk: Kto ją tak urządził?! Na domiar złego nieustannie się obrażała, nigdy nie podając powodu. Domysły i próby interpretacji tego niezadowolenia miały stanowić w jej oczach inną, wyrafinowaną torturę. Trzeba było kombinować, o co się gniewała. Za wszystkie możliwe, choć nieprawdziwe scenariusze należało ją przeproszać. Nigdy też nie dawała do zrozumienia, że tym razem już odpuszcza, że łaskawie przebacza. Bez przebaczenia – było jej naczelną zasadą.

Odwiedzała córkę w ostatniej fazie choroby, gdy ta już najczęściej nie miała siły, aby usiąść na łóżku. I wydawałoby się, że taka matka, patrząca na znikającą w oczach Igę, swoją córkę, nawet jeśli przez całe życie była zimną suką, w końcu powinna zacząć rozumieć, że bieg rzeki się zmienił, że dzieje się coś naprawdę niedobrego i że już najwyższy czas, aby odpuścić jej, sobie, wszystkim. Może i nawet starała się lepiej wypełniać swoją matczyną rolę, bo z autentycznym zaciekawieniem obserwowała rosnące stopy leków i ampułek piętrzących się na szafce obok łóżka. Wtedy zdawało się, że jej serce nieco kruszało. W końcu uwierzyła, że córka rzeczywiście jeździła na

wizyty do onkologa, a nie udawała się na te podejrzane medytacje do tych podejrzanych Azjatów z piekła rodem w bordowych szatach.

Na kilka tygodni przed śmiercią Igi, gdy jej ciało było już tak zmienione przez chorobę, że u wielu mogło budzić odrazę, a u większości lęk – bo w umierających widzimy siebie w nieodgadnionym chaosie przyszłości – matka zjawiała się u niej codziennie. Targała siatki ze słoikami, w których przelewały się nieprzytomnie gęste zupy zaciągnięte zasmażką, mięsne potrawy z ryżem i pulpety z wołowego. Serwowała te dania z *olé!* na ustach, jakby to było wyczynem rangi toreadora! „Wołowina daje siłę!” – trąbiła. „Ludzie mówią, że rak lubi mięso, ale ludzie są głupi!” – pawiła tonem wszechwiedzącej szeptuchy. „Musisz się odżywiać, przytyć, bo cię wiatr zdmuchnie, ty kruszyno moja”. Ta „kruszyna” miała być pieszczotą, werbalną ekwilibrystką matczynej troski, choć o miłości ta kobieta nie mogła mieć większego pojęcia. Co jakiś czas uśmiechała się nerwowo. Przypominała wtedy wiedźmę wrzucającą pająki do ukropu. Odwiedzała Igę także po to, aby sobie ponarzekać. Bo już wiek mocno podeszły, bo choroby rozliczne, jej problemy wielkie, jej rachunki wyższe, ten świat obok niej okropniejszy, sąsiedzi gorsi, głośniejsi, powietrze mniej czyste. Biednemu zawsze wiatr w oczy! Natomiast choroba córki to nic wielkiego, jakiś odprysk losu. Tylko tyle.

Pamiętam, jak kiedyś stanęła przy łóżku otumanionej opiatami Igi – podczas gdy ja siedziałem przy niej i trzymałem ją za rękę; był to dzień, w którym czuła się gorzej niż poprzednio i niż kiedykolwiek – i powiedziała niby to do mnie, niby do kogoś obok, może do swojego anioła stróża, jeśli taki w ogóle by z nią wytrzymał:

– Jakby mnie tak dobrze przebadać, to kto wie, czy ja nie jestem bardziej chora...

Zamurowało mnie. Bywają takie chwile, kiedy nie tylko serce zamyka się na drugiego człowieka, ale ma się dosłow-

nie ochotę usunąć jego obecność ze swojej przestrzeni, zdmuchnąć go jak płomień świecy. Gdyby nie fakt, że miała już swoje lata, wytargałbym ją za ten siwy, durnowato sterczący kok, wyrwał drewnianą szpilkę, złamał ją na pół, może nawet wbiłbym w jej serce, aby wypłynęły z niego gorycz i żółć. Czyż nie tak gasi się życie wampirów raz na zawsze? Warknąłem tylko: „Jak pani może!”. Powstrzymałem galop emocji w obliczu tej starej, nadętej, przepełnionej arogancją kobiety.

Iga przyjmowała opiaty co kilka godzin. Leżała potem ze wzrokiem utkwionym w suficie. Nierówności tynku i żółte ślady po zalaniu przez sąsiadów obserwowała z takim zaciekawieniem, jakby to były freski Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. Zdaje się, że nic do niej nie docierało ze słów matki. Może już instynktownie umiała ich nie słyszeć? Może wszystko przyjmowała takim, jakie było? W ostatnich tygodniach łykała koktajle leków przeciwbólowych i sterydów. Jej umysł nie tyle się mącił, ile stawał miękki, falujący, z wolna poddający się woli i wyrokowi nieuniknionego. Niekiedy odnosiłem wrażenie, że jej umysł przelewał się z ciała jak rzeka wzbierająca na wiosnę, wylewająca swoje wody z koryta na okoliczne pola w sposób niekontrolowany – raz łagodnie, innym razem gwałtownie i nieobliczalnie.

– Wiesz – powiedziała mi w przeddzień mojego wyjazdu, gdy tylko matka poszła sobie, zabierając pusty słoik po fasolowej na wędzonce – kiedy się tak choruje, jak ja teraz, to wszystko, co dotąd człowieka tak bardzo irytowało, wzbudza jedynie rozczulenie...

Zwilgotniały jej oczy.

– Nie, nawet nie rozczulenie, tylko tęsknotę. I to jest nawet miłe... bo zwyczajne, niedoskonałe... takie nasze i ludzkie. Jaka ja jestem niedoskonała, wiesz? I jak bardzo mi z tym dobrze! A nigdy mi dobrze nie było z samą sobą – wypowiedziała to z westchnieniem ulgi.

Po dłuższej chwili kolejnego kontemplowania fresków sufitowych warknęła:

– A tam, pieprzę! Żadna tam tęsknota. Wiesz, co to jest? – Umysł znów miała ostry jak brzytwa. Odzyskiwała samą siebie.

– Nie mam pojęcia.

– To jest żal. Zwykły żal. Jestem tego pewna. Mam się oszukiwać? Nie będę. Tak, żałuję. Rozumiesz?

– Jak to, żal? – zaoponowałem. – Iga, no coś ty... Nie masz czego żałować. – Kłamałem jak z nut, wiedząc, że sam na jej miejscu żałowałbym tych wszystkich lat przy Stachu. – Przecież spotkało cię tyle pięknych rzeczy!

Dlaczego kłamiemy umierającym? Dlaczego oszukujemy ich, wynajdując historyjki ku pocieszeniu? Dlaczego mówimy im, że będą żyć długo, że pokonają chorobę, że trzeba mieć nadzieję, że wróżka przepowiedziała im jeszcze tyle i tyle lat życia? Dlaczego jesteśmy tak bezwzględni? Czy tymi kłamstwami chronimy ich czy samych siebie? Z jednej nieprawdy w drugą nieprawdę, z jednego zaprzeczenia uciekamy w kolejne. Bywamy tacy fałszywi...

– Ty nic nie wiesz – ciągnęła Iga. – Mat, tak naprawdę nic o sobie nie wiemy, nawet on, ten mój durny Stach, który mnie dymał w młodości i kupował błyskotki, i jadł te moje zbyt mocno ścięte jajecznice, i rzucał sztućcami, bo pieczywo nie było tak chrupiące, jak lubił...

Dała gestem znak, że zaschło jej w gardle. Szybko przyniosłem jej soku rozcieńczonego wodą. Duszkiem wypila pół szklanki.

– Stach to mistrz nic niewiedzenia. Ignorant. Wzorcowy egotyk i sybaryta. Stach to Mister Ja! Całe życie myślał tylko o swojej pracy, o tym, jak dobrze zjeść. Tylko przy gościach... rzadko ich miewaliśmy... perorował o historii Polski i polityce. O Piłsudskim pierdolił, o polskiej racji stanu, o wartościach utraconych. Że też nie został prezydentem! Za kołnierz nie wylewał, ale alkoholikiem nie był,

chyba nie... Piłam z nim trochę. Nawet lubiłam się z nim napić. Bo jak z nim tego drina nie wypięłam, to był nerwowo. A jak wypięł, to mu się na metafizykę zbierało, czulszy był... Bacha słuchał. Bacha! Kurwa mać! Pan feudalny miejskiego szpitala! Ordynator pierdzielony... Boże, jak on kochał rozkazywać. On całe życie wszystkim rozkazywał... Tylko mnie jednej już teraz nie rozkazuje, bo moje ciało mówi mu: A taki chuj!

– Iga!

Roześmialiśmy się.

– Nie będę grzeczną dziewczynką! Już nie. Nigdy więcej. Gruczne dziewczynki nie idą do nieba, one mają przejebane.

Drwiła ze Stacha okrutnie i przeklinała jak szewc, co mnie trochę dziwiło, bo przedtem nie miała tego w zwyczaju.

– Innych nazywał hołotą. Ile ja z nim walczyłam, żeby nabrał pokory, żeby w człowieku człowiek dojrzał. Mat, Stach to człowiek sukcesu i dupek w jednym, postrach oddziału i zwykła życiowa safandula. Wody nawet nie umiał zagotować ten mój Stach ani miski klozetowej po sobie doszorować. – Śmiała się. – Ale jakoś tam go kochałam. Hitlera też ktoś jakoś tam kochał, prawda? No, tak czy nie?! Jak ona się nazywała, Jezu, no...

– Ewa Braun.

– O! Widzisz, dziury mam w pamięci przez tę chemię. A i kochanki miał skurwiel...

– Hitler?

– Nie, Stach. Rozliczne...! Jedną nawet na poważnie. Stawała tu pod balkonem. Że niby do kogoś innego, że na kogoś innego czeka. Wychodziłam na balkon i krzyczałam: „Wynocha, nie ma go i nie będzie!”. Przeganiałam je jak gołębie. Kto chce mieć balkon osrany, co?

Roześmiała się z werwą zbuntowanej nastolatki, po czym spoważniała i spojrzała na mnie tak, że od razu wiedziałem, że o cokolwiek poprosi, nie odmówię.

– Co jest?

– Mat, mimo wszystko martwię się o niego. Wbrew pozorom to nie był... nie jest zły człowiek. Obiecay, że czasami zadzwonisz i zapytasz, jak sobie radzi, że zadbasz...

Milczałem. Odwróciłem głowę. Tylko nie to, tylko nie to. Tego akurat jej wtedy nie mogłem obiecać, zwłaszcza tego. Zresztą jej mózg w chwilę później nie pamiętał już, co wyprodukował. Przez te opiaty funkcjonowała trochę jak złota rybka w szklanej kuli, której po trzech okrążeniach wydaje się, że świat jest wielkim wyzwaniem. Nie musiałem zatem niczego tłumaczyć, wymigiwać się. Stacha nie znosiłem jak mało kogo. Istniała pewna nić kurtuazji między nami, która szczęśliwie pozwalała utrzymywać poprawne stosunki, ale nic ponad to. Człowieka jego pokroju nie wpuściłbym do własnego umysłu nawet na minutę, a co dopiero do własnego domu czy pamięci, która zobowiązuje.

Kiedy lata temu zobaczyłem u Igi kartkę przypiętą dwoma magnesami do lodówki: „Mąż jest najważniejszy”, nie wytrzymałem: „Pojechało cię do reszty?!”. W jej ciasnej kuchni w bloku z wielkiej płyty brakowało jeszcze tylko ściereczki z haftem: „Nigdy dobra gospodyni mleka z wodą nie pomyli”. Podobne gadżety zawsze mnie przerażały. Sprowadzały kobietę do roli kuchennej miotły, która swoim małym rozumkiem umiała jedynie perfekcyjnie odróżnić patelnię od rondla, a szczytem wyrafinowania nazywała odpowiednie proporcje mąki i śmietany w zagęszczeniu kartoflanki oraz dopieranie do czysta mankietów mężowej koszuliny. Miałem wtedy ochotę porządnie jej wygarnąć, że marnuje sobie przy nim życie, że Stach jest kulą u nogi, że się przy nim nigdy nie stanie świadomym człowiekiem. „Nie rozwiniesz się przy nim, nigdy, a to jest najważniejsze, słyszysz?!” – darłem się na nią. Pamiętam, że nawet zdobyłem się na kilka jeszcze ostrzejszych słów pod jego adresem. Nic nie odpowiedziała. Nie rea-

gowała. Speszona zerwała tę żalosną kartkę, jakby chciała usunąć wstydliwą pajęczynę. Włożyła ją do szuflady, nie do śmietnika, pewnie po to, by po moim wyjściu z powrotem ją przyczepić, żeby było jak dawniej. Może tak musiało być, może to był jej świat według Stacha? Może światy kobiet według Stacha mają swoją rację bytu, tylko ja tego nie ogarniałem?

Nigdy więcej nie wracaliśmy do tematu sensu jej małżeństwa. Dla niej, jak mówiła, nie było sprawy. Mieli zresztą ze Stachem swoje status quo, którego znaczenia nie pojmowałem ani nie musiałem rozumieć. Jednak do tak pozornej obojętności, jaką mądrzej jest nazwać autonomią, a którą bezwzględnie należy zagwarantować naszym przyjaciółom, by ci z nami wytrzymali i nas nie odrzucili, dojrzewałem długo.

Iga, od lat bezrobotna, on, pan domu, głowa i szyja w jednym, zasobna kieszeń, mecenas jej licznych późniejszych podróży na Wschód, do których przełamała się wraz z pierwszą diagnozą uświadamiającą jej, że jeśli nie teraz, to być może już nigdy. Bo gdy choroba kołacze do drzwi, trzeba pospiesznie spełniać wszystkie marzenia, nawet te najbardziej śmiałe, skazane niegdyś na surowe więzienie naszej niemocy.

Rak to łajdak. Długo romansuje z organizmem. Podstępnie. Te jego potajemne schadzki ze zdrowymi komórkami, o których nic nie wiesz... Oni szczęśliwi, bo tworzą coś nowego, osobny byt, a ty żyjesz w nieświadomości, upajasz się planami życiowymi. Gdy już połowę organizmu przekabaci na swoją stronę, zaczyna rządzić. Okazuje się prawdziwym draniem, gdy ty właśnie zatapiasz zęby w najlepszym kawałku swego tortu życia. Kiedy w końcu się orientujesz, że sprawy zaszły za daleko i trzeba mu powiedzieć stanowcze nie, on chwyta cię boleśnie za gardło jak mąż alkoholik – bo to mistrz przemocy – i zaczyna bezceremonialnie stawiać własne warunki.

Oczywiście nie chcesz i nie możesz na nie przystać, jeśli ci życie miłe, ale podskórnie czujesz, że jesteś bez szans. A potem, jak to bywa w relacji z innym, szalonym bytem, wydarzają się ciągle zwroty akcji...

Iga, wiedząc, że jej czas skrócił się niemiłosiernie, czemu dawali wyraz lekarze, posępnie kiwający głowami, wypluwający z siebie potoki terminów w ich ulubionym trybie warunkowym, szybko przełamała w sobie nie tylko niechęć do zmiany miejsca, która do tej pory czyniła dla niej podróżowanie niemożliwym, ale też lęk przed lataniem samolotem, może nawet lęk przed śmiercią w ogóle. „Teraz, kiedy już nic nie mam do stracenia, miałabym się czegoś bać? Podróż do Indii? Katastrofa lotnicza? Śmierć? To mogłoby być nawet piękne... Czułabym się jak pielgrzym, który zginął śmiercią męczeńską” – żartowała przed pierwszym lotem do Delhi w liście, który skreśliła na Okęciu. Boże, jaki ona miała okropny charakter! Widać rzadko pisała. Koślawe litery, ledwie ze sobą połączone, tańczyły na papierze salsę jak naćpane. Na szczęście dużo czytała. To nas ze sobą wiązało. Między innymi.

I tak choroba z czasem uczyniła ją bardziej wyrównaną w przyjaźni, pewniejszą swego i ogólnie bardziej zintegrowaną, co w moich oczach jawiło się jako pozytyw tego nieszczęścia. Iga zmieniała stosunek do samej siebie, odkrywając nowe pasje, umiejętności, nabierając zaufania do własnej inteligencji i decyzyjności. Stawała się wolna i niezależna, na co Stach nie reagował już tak nerwowo jak kiedyś. Przecież wiedział, jak się sprawy miały.

W jednym z kolejnych listów, już z Indii, pisała: „Jestem taka wdzięczna... Czuję się jak ptak, któremu wreszcie pozwolono na zimę wrócić do ojczyzny... Codziennie rano wstaję i widzę przez okno wierzchołki Himalajów. Jakie to szczęście. Jaki to przywilej! Wiesz, czuję, że pokonam go”. Oboje wiedzieliśmy, o jaki rodzaj zwycięstwa chodziło.

Ni w ząb nie znała angielskiego. Ile jej do głowy tłukłem, żeby jednak cokolwiek sobie wmontowała w te swoje polskie neurony. Pracowała przez jakiś czas w czytelnicy. Praca nudna i spokojna jak leżenie w grobie. „Masz takie zajęcie, że możesz nawet ze słuchawkami, ukradkiem, tu i tam, chwila po chwili, słówko po słówku”. Musiała temu zaradzić, bo podróżować po świecie w pojedynkę, bez znajomości angielskiego, nie sposób. Z pazernością wygłodniałego drapieżnika rzuciła się na promocyjne kursy językowe w wydaniu audio i zachwalane przez specjalistów od nauczania języków obcych podręczniki-cuda. Kupiła też sobie opasły słownik języka angielskiego liczący grubo ponad tysiąc stron, czym rozbawiła Stacha do łez. Mnie zresztą także. Na zakup elektronicznego tłumacza, który przypominał przerośnięty pilot od telewizora, z łatwością dała się namówić przez cwane go akwizytora. Przede wszystkim żywiła wewnętrzne przekonanie, że w podróży głównie liczy się łut szczęścia i dobra, pomocna dłoń życzliwego człowieka, który podpowie, jak załatwić sprawunki i wskaże właściwy kierunek. Rzeczywiście pod tym względem była szczęściarą. Bez większych wpadek odbywała swoje pielgrzymki. Tak: liczba mnoga.

Pielgrzymki do Indii, gdzie na uchodźstwie żył w klasztorze jej duchowy nauczyciel, stareńki lama o trudnym charakterze i wielkim poczuciu humoru, który swoich uczniów poza medytacją uczył, jak powstrzymać burzę, przywoływać deszcz, uzdrawiać chorych i palić całymi dniami tysiące lampek maślanych, modląc się przy tym o szczęście dla wszystkich istot. Dziwny był ten lama i nieodgadniony. A i ten buddyzm tybetański był jakąś krainą czarów i magii. Kiedyś nawet poznałem go. Iga bardzo nalegała. Przez chwilę mnie zafascynował, ale na dłużej nie umiałbym mu zaufać. Nie kwestionowałem ciepłej i niepozabawionej humoru osobowości lamy. Nie dyskutowałem z Igą o jego przymiotach, których długą listę niemal

z pamięci recytowała. Wszyscy chcieli w nim wiedzieć bardziej maga i cudotwórcę niż zwykłego człowieka na drodze do przebudzenia. Wielu widziało w nim samego Buddę. Wielu traktowało jak świętego za życia, podczas gdy mnie świętość zawsze wydawała się mocno podejrzana.

Po kilku latach względnie udanych negocjacji z rakiem – och, jak on to kocha, niczym diabeł: coś obiecuje, mówi, że już odejdzie, odchodzi nawet, a potem zakrada się nocą przez otwarte okno, by szepnąć czule: „Stęskniłem się za tobą” – nastąpił gwałtowny nawrót choroby. Wznowa! Przerzuty, nowe guzy, nacieki. Wszystko przerwał: podróże, marzenia, nadzieje, siły witalne. Wszystko przeniosło się ze sfery faktów do sfery słów bez pokrycia. Nie kryło się już z nimi żadne znaczenie, żadna szansa.

Na kilka dni przed wyjazdem zapytałem Igeę, czy coś chce powiedzieć, coś wyrzucić z siebie.

Nie umiała ukryć przede mną wzbierającej w niej fali żalu. Łzy na wierzchu, tik prawego kącika ust, drgający arytmicznie policzek zdradzały jej emocje.

– Co do żalu... – Krygowała się.

– Tak tylko pytałem...

– Nie wiem, jak to jest z żalem. Wszyscy teraz są strasznie mądrzy. Ach, posłuchaj, wchodzę do sklepu, a jakiś facet w kolejce patrzy się na mnie i przygląda mi się świdrującym wzrokiem, jakby kosmitę zobaczył. A przecież perukę miałam i czapkę i nie byłam przecież jakaś rakowa z wyglądu. I on tak patrzy na mnie bezczelnie, jakbym się zesrała na środku sklepu. Pytam więc: „Co pan tak patrzy? Tak, mam perukę na głowie, łysa jestem, mogę ją panu oddać. Chce pan? Ale, uwaga, razem z rakiem oddam! No, to co?! Bierze pan?”. Jezu, facet się wystraszył na dobre. Minę miał nietęgą! Głupio mi trochę było. Wysłałam z zakupami z tego sklepu, gdzie pani Jadzia od dłuższego czasu obsługiwała mnie poza kolejnością. Jednak po chwili przemyślałam sprawę i zawróciłam, bo żal mi się zrobiło czło-

wieka. Odnalazłam go wzrokiem. Już nie patrzył na mnie. Chyba nawet unikał mojego wzroku. Więc podeszłam do niego i uśmiechnęłam się: „No, żartowałam, życzę panu zdrowia, żeby było jasne, niczego złego nie życzę” – wiesz, aby nie pomyślał, że jakąś klątwę ode mnie oberwał. Tak swoją drogą, dlaczego ludzie się tak durnowato patrzają na rakowców? Na kobiety w perukach? Łysy facet to okej. A łysa kobieta to już śmierć? Nigdy, kochany, pamiętaj, nigdy nie patrz bezczelnie na czyjeś cierpienie, jeśli nie potrafisz naprawdę pomóc. Przed cudzym cierpieniem można się tylko pokłonić.

– Ale też...

– No co?

– Myślę, że ty... Igo, ty w sumie w ogóle się nie leczyłaś. Nie dałaś sobie pomóc. To znaczy... trochę za późno się za to zabrałaś.

– Trochę? Ho, ho! Widzę, że teraz mi pomagasz. – Uderzyła w sarkastyczny ton. – Już przestań z tym leczeniem. Kto to wie, komu ta chemia pomaga, a komu szkodzi? Wiesz, jak oni leczą! To nie lekarze, to chemicy. Słyszysz to? Chemicy! Oni cię ważą i obliczają twoją wytrzymałość na truciznę. Dla nich jesteś kupą mięsa o określonych parametrach i do tej kupy mięsa trzeba dobrać taką ilość jadu, aby cię zabiła, ale tylko trochę, nie na dobre. Strzelają na oślep diagnozami, terapiami, jak pijani myśliwi. Jednym raka ustrzelą, innym nie. Komuś coś rykoszetem...

Nagle odzyskała rzeškość umysłu, wydawała mi się wtedy tak przytomna, tak dobrze mi się z nią rozmawiało. To był dobry dzień.

– Cholerne gdybanie z tym rakiem – ciągnęła. – Wierz mi, niewiele brakowało, a rak sprawiłby, że stałabym się mistrzynią gdybania. Pewnie gdybym się zaczęła leczyć wcześniej, nieco później bym zmarła, a tak zejść ciut przed czasem, jakimś tam swoim czasem... widzisz różnicę? Czy długość życia wartosciuje naszą egzystencję? Na pewno do

tej wartości odwołuje się medycyna. Chce, abyśmy żyli jak najdłużej. Chce nam podarować starość bez końca. Blee. Medycyna to cyferki, parametry, rokowania. Długość życia i długość przeżycia, oto, co się dla nich liczy. A długie to są kielbasy, a przecież istnieją też krótkie serdelki, a i fiuty bywają długie i takie mikre jak... jak nie wiem co... – Zaśmiała się i po chwili zmitygowała... – Sorry, jakaś wulgarna się robię, kurwa. Ten rak mnie rozpięrdala. A przecież taka nie byłam, co? Przecież ja byłam grzeczna dziewczyna...

– Ale to już wiemy, że nie chcesz iść do nieba...

– No nie, do nieba nie, chociaż... – Roześmialiśmy się.

Nagle wyciągnęła przed siebie lewą rękę i wodziła palcem w powietrzu za „freskami” na suficie.

– Iga? Wszystko okej?

Spojrzała na mnie, nie opuszczając ręki, która zawisła nieruchomo jak wyrzeźbiona.

– Miałam brać te ich wszystkie chemie i patrzeć, jak się rozpuszczam za życia? Czuć się jak szczur, który się obżarł trutki, choć wyglądała na smaczny kąsek, obietnicę życia? Truć się po to, by chodzić jak zombie i zdychać w niepewności, czy to jeszcze ja i moje własne ciało, czy raczej już tylko jakiś zdechłak ważący tyle co dwunastolatka? Miałam się oddać tym cholernym konowalom, z których tylko jeden na dziesięciu potrafi ci spojrzeć w oczy i życzliwie się uśmiechnąć?! Postąpiłbyś inaczej na moim miejscu? Poświęciłbyś resztę swego życia medycynie, ich doświadczeniom z nowymi koktajlami leków?! Nie, Mat, nie tędy droga; na raka wymyślą kiedyś inny lek, ale jeszcze go nie ma... Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie ten czas. Kiedyś kiłę leczyli rtęcią... Jesteśmy na tym etapie.

– Iga, ja tylko chcę, żebyś... ja chcę tylko... nie wiem... nie wiem... Może dobrze wybrałaś. Może źle. Przepraszam cię.

– A może nie ma ani dobrze, ani źle? Wszyscy są mądrzy, kiedy ich to nie dotyczy.

– No, nie do końca...

– Nie ma dobrze ani źle. Nie ma, kurwa, żadnej życiowej łatwizny!

Po chwili poprosiła, bym poszedł do bufetu i wyjął paczkę Lucky Strike'ów. Otworzyłem barek, ale nie mogłem znaleźć papierosów. Pomyślałem, że może Stach ukrył je przed nią.

– Nic nie ma! Leżą tylko jakieś cygara, pewnie Stacha!

– Kubańskie... Dobrze i cygaro, dawaj je...

Zrobiłem to niechętnie. Byłem bardzo zdziwiony, bo nie widziałem, aby wcześniej paliła. Już po chwili nerwowym, męskim i zdecydowanym ruchem odpała brunatną racę Fidela Castro.

– Cuchną, jakby się pies sfajdał. Otwórz okno. Szerzej! – Jeszcze raz się zaciągnęła. – Te kubańskie cygara są mocno przereklamowane. – Spojrzała na nie i sztachnęła się po raz kolejny. – Stach to snob. Cygara, koniak, dziwki w majonezie. – Śmiała się. – A ty wiesz, że ja nawet nie jestem pewna, czy mnie zdradzał? Ale skoro nie sypialiśmy ze sobą od tylu lat, to pewnie łąził na baby, co?

– Bo ja wiem. A gdzie miałby tu chodzić na te baby. To miasto to Pierdziszew, tu wszyscy wszystko wiedzą, oplotkują zaraz. Dowiedziałybyś się. – Udawałem, że nie było wcześniej tematu.

– Może i wszyscy wszystko wiedzą, ale żona się nie dowie, tak to już jest. Taki jest świat. A jak się dowie, to będzie ostatnia. Z tą chwilą staje się pośmiewiskiem dla wszystkich już obeznanych z tematem.

Spojrzała na mnie, by po chwili, niczym gwiazda amerykańskiego kina lat pięćdziesiątych, zawiesić wzrok na smudze niebieskiego dymu, który można było bez końca kontemplować, patrzeć, jak wznosi się i tańczy w przestrzeni, przybierając kształt kobry, ogromnego nosa, gęby kłowna.

Milczeliśmy.

I dobrze nam z tym było.

I tak cicho się przez chwilę zrobiło.

– A ty jesteś szczęśliwy? – zapytała znienacka i oddała mi tłące się cygaro, które wciąż buchało dymem jak komin parowozu. – Masz, w kiblu je utop!

Uśmiechnąłem się i przedrzeźniając jej ton, powtórzyłem:

– Tak, chyba tak, jestem szczęśliwy: kocham, podróżuję.

– Uuu, to niemały sukces. No, doceniaj to i pamiętaj, że nic nie jest nam dane na wieczność. Jessu, człowieku, a może ty byś zaczął medytować? Praktykuj codziennie medytację, siadaj na poduszce. Staniesz się buddą. Albo staniesz się lotosem, albo umrzesz jak zwykły polny kwiatek. W sumie też fajnie. Pamiętaj, kotek. Nie ma tak, że potem będą jakieś drugie szanse... I nie ma tak, że później coś zrobisz, że teraz się nie chce, bo akurat z kimś kolacja albo prokreacja. Tak nie ma! Trzeba już teraz coś ze swoim życiem zrobić... Teraz! Trzeba wysiedzieć na poduszce tę złą karmę, póki cię nie dopadną jej zgniłe soki. Wtedy będzie za późno.

– Naprawdę w to wierzysz? Wysiadywać złą karmę? Wysiaduje to się jaja, ale te dobre, zalężone. Zbuki trzeba rozbić i do kosza. To jakieś okrutne jest, co mówisz, Igo.

– Są tylko dwa scenariusze: albo się przebudzimy i stanjemy buddą, albo będziemy raz po raz odradzać się z kolejnymi płonnymi nadziejami i pomysłami na umoszczenie ja, by z czasem zrozumieć, po raz kolejny zresztą, że każde kolejne życie musimy znosić niczym trampki. No, wierzę, wierzę w to... A w co mam wierzyć? W karę boską?!

Po chwili spojrzała na mnie, ściągnęła wargi, oblizła je i dodała:

– Mat! To jest kołowrót, pułapka, zastrane koło. Rozumiesz? Nieustanne krążenie. Totalna ułuda.

– Perorujesz jak jakiś guru. – Rechotałem przez chwilę. Jednak mój dobry nastrój szybko zgasł.

Widziałem, że Iga nie żartuje, że naprawdę chce mi coś przekazać. Może to była erupcja żalu, o który pytałem wcześniej?

– Guru Iga, nawet całkiem ładnie brzmi... przyznasz.
Ściągnęła usta i spojrzała na mnie świdrującym wzrokiem pełnym jakiegoś szaleństwa, jakiego wcześniej w niej nie dostrzegłem.

– Mat...

– Tak?

– Mnie za chwilę nie będzie...

– Nie mów tak... – zaprzeczyłem odruchowo.

– Mat... – Zaczęła nerwowo drapać się po skroniach. – Ja nie mam już nic do stracenia. Całe życie połykałam słowa. Często bałam się własnych myśli. Ryby mogłabym uczyć, co znaczy milczeć. Teraz nie mam na to milczenie ani chęci, ani siły, ale też nie mam już czasu, aby wszystko opowiedzieć. Nie wiem nawet, czy umiałabym wszystko w sobie wyzwolić... A umiałabym... och, jak ja bym teraz umiała o sobie zawalczyć. A wiesz, że ja czasami rozmawiam z samą sobą? Też mówisz do siebie?

– No, pewnie, może kiedyś bardziej niż teraz, ale zdarza się, kiedy jestem sam... Tak sobie komentuję coś pod nosem. Psy wtedy podnoszą uszy, może nawet tego słuchają? Nie posądzam siebie o jakieś zaburzenie... ani tym bardziej ciebie. A nawet jeśli jesteśmy zaburzeni, to niegroźnie. – Uśmiechnąłem się.

– Ja muszę tak gadać! Musi to coś, co sobie właśnie pomyśle, ze mnie wyjść. Bo albo umrę w wypowiedzianej prawdzie, mojej prawdzie, albo przepadnę na eony, na wieki wieków, jak mówią katolicy, ha, ha! Przez czterdzieści lat nie wiedziałam, co to znaczy być we własnej prawdzie. Nie wiedziałam, że mam do tego prawo, i że to jest tak wyzwalające.

– Ależ ty jesteś piękna, kiedy tak mówisz... ale ci się oczy błyszczą.

– Przynieś lusterko.

Pobiegłem do łazienki. Na półce obok kosmetyków trzymała lusterko powiększające, takie, żeby zobaczyć pryszcza albo ubytek w zębie.

– Oj, nie to, a zresztą niech będzie. Boże, ale ja się zmieniłam. To nie ja. Też kiedy patrzysz na mnie, masz wątpliwości, czy ja to ja?

– Nie, nie mam. Ty to ty.

– Ciało jest... Zmienną? Nie chcę go już...

– Ciała?

– Nie, lusterka, już je zabierz...

Odbierając lusterko, spojrzałem na nią tak bardzo inaczej, tak, jakbym wraz z tym odbiciem lustrzanym zabierał z niej obraz mijającego ciała... Wydawała mi się jak obłok, jak niezemskie zjawisko, które choć wiadomo, że za chwilę zniknie, nie przestanie fascynować, zastygnie w pamięci. W łazience spojrzałem w lustro na własną twarz. Oczy. Lśniące, pełne blasku. Może to one są jedynym i właściwym wyznacznikiem naszego apetytu na życie? Byłem z tym wszystkim, co mi przez głowę przemykało, sam na sam i wiedziałem, że nikomu nic do tego. I że to się wydarza w tym małym mieszkaniu zwykłego bloku, w niewielkiej miejscowości małego środkowoeuropejskiego kraju, na planecie Ziemia, która w skali bezkresnego kosmosu jest kropką, galaktycznym zaskórnikami, tak małym, że sam dobry Bóg, gdyby istniał, nie dojrzałby go na własnym nosie.

Na dwa dni przed moim wyjazdem Iga poczuła się o wiele gorzej. Wyglądając przez okno, wodziła wzrokiem w prawo i lewo. Wzrokiem szklistym i matowym. Nieobecnym. Na niebie chmury niczym puzzle układały profil brodatego starca.

– Wierzysz w Boga? – zapytała znienacka.

Patrzyła na mnie swoimi dużymi oczami, których nie otaczała już kępa rzęs. Wypadły po chemii i dziwnie nie odraستاły.

– Skąd to pytanie? W Boga osobowego nie bardzo.

– Ja pytam, czy wierzysz w taką siłę, boską, kosmiczną, wszechmocną?

– Wierzę. Ale to nie jakaś osoba, nie wierzę w Boga osobowego, który pstryknął palcem i oto stała się jasność, dni, noce, człowiek, starość, choroba i śmierć!

– A co to jest jak nie Osoba? Jakaś Bezosoba? Jakiś Nikt? Kiedy przychodzi odchodzić... fajnie powiedziane nie?... to nie ma form bezosobowych! Nie „umiera się”, ale „ja umieram”, „ja wierzę” albo „ja nie wierzę”, rozumiesz? Śmierć też jest osobą. Personifikujemy wszystko, aby mieć pewność, że istnieje naprawdę.

– Śmierć nie jest osobą. Ale tak o niej myślimy, bo chcemy oswoić. Śmierć to proces. Popatrz na liście jesienią. Czy trzeba szukać winy w ich żółknięciu, jakiegoś ja, które umiera?

– Prawda, w sumie nic o tym nie wiem.

– O Bogu czy umieraniu?

– O jednym i drugim.

– Przynajmniej nie ściemniasz.

– O Jezuu, znowu mi się chce tego cygara... Przyniesiesz?

Po czym nagle tonem jak z innej płyty, głosem pajacyka z teatru kukielkowego dla dzieci do lat pięciu, któremu właśnie pada bateria, powiedziała:

– Miałam taki dziwny sen... Opowiem ci, chcesz? Albo nie... Ja cię męczę, prawda? Albo, co gorsza, nudzę? Chcesz już pójść? Tak, ty już idź... Ty już, kurwa, idź, bo nic tu po tobie, tu już pozamiatane, Igunia umiera...

– Nie muszę nigdzie iść! Opowiadaj...

– Może chcesz już do mamuni na kotleta, do przyjaciół, zdrowych, żyjących?

– Ale, ty, kurwa, jesteś złośliwa!

– Jak suka... O! O! A ty też klniesz jak szewc...

Zaśmialiśmy się równocześnie.

– Opowiadaj mi ten sen.

– To była ręka, czyjaś, nie wiem czyja, ale męska, silna. Palcem wskazywała na wieżę kościoła, taką wysoką, strzeliłą jak gotyk, z ogromnym pozłacanym krzyżem... Bardzo

mnie ten sen... Zdziwił? Opowiedziałam o nim Stachowi nad ranem. Owsiankę mi gotował, a ja: „Hej mężu, Bóg chyba dał mi znak...”. Spojrzał na mnie jak na wariatkę: „Ze co?”. Nazajutrz na moją prośbę Stach zamówił mi kilka pozycji z katalogów chrześcijańskich wydawnictw. Oni nawet mądre rzeczy wydają, wiesz? I tak zaczęłam czytać żywoty całkiem interesujących ludzi, których oni ogłosili świętymi. Ileż ja tam inspiracji odnalazłam. I pewnego dnia, a było to dla mnie niemałym odkryciem, zrozumiałam, że buddyzm i chrześcijaństwo są w gruncie rzeczy jednym i tym samym... No, mów, co chcesz, ale na to mi wyszło! – Widziała moje powątpiewanie. – Kurczę, może rzeczywiście te religie są jednym i tym samym, tylko my, ludzie, nadaliśmy im własne kształty, zbudowaliśmy wokół nich własne mury?

Powalała mnie jasność umysłu, z jaką o tym rozprawiła. Po czym nagle smutniała, a entuzjazm, jeszcze żywy przed chwilą, pryskał jak bańka mydlana.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, rzuciła:

– Wszystko spieprzyłam, dosłownie wszystko.

Łzy wielkie i lśniące toczyły się jedna po drugiej. Gdy zamknęła powieki, na dobre rozsypały się po policzkach niczym perły. Wyobrażałem sobie, że kiedy umrze, tak właśnie będzie wyglądała jej twarz. Jednak umierający rzadko zamykają powieki, jakby na przekór wszystkiemu chcieli dać nam znak, że nie zasnęli, że nie odeszli na dobre, że choć oddech ustał i serce przestało bić, patrzą na nas i nadal coś widzą...

– Nie mów tak – przerwałem jej. – Zrobiłaś, co mogłaś. Iga, pamiętasz ten napis na lustrze w łazience u Kryśki?

Uśmiechnęła się szelmowsko, nie otwierając oczu.

– Kryśka! To była zaawansowana istota. Mądra babka. Zanim jeszcze ktoś coś o tym przebąkiwał w mądrych książkach o terapiach i rozwoju osobistym, zanim w ogóle je ktoś zaczął pisać i wydawać... To ona napisała szminką na lustrze w łazience: „Żal jest do dupy”. Upiłam się kie-

dyś u niej koniakiem jak świnia jakaś... Potem ocieram usta, patrząc w lustro, czy resztek rzygowin nie mam na twarzy, a tu ten napis, taki strzelisty i płomienny jak manifest komunisty. Tak mnie to zatrzymało. Tak mną potrząsnęło. Och, Kryśka, to była mistrzyni życia...

– Piszecie do siebie?

– Zwariowałaś?! Kryśka nie żyje już od dobrych paru lat.

– Jak to?

– Zginęła w najdurniejszy sposób... Matko, ja ci mam teraz opowiadać o śmierci Kryśki?! Pojechali na Majorkę. Robili sobie zdjęcie na klifie. To znaczy Błażej jej robił. Bo Kryśka ślepa przecież. Minusy miała tęgie. I wtedy... Chciała być cała na zdjęciu, żeby jej nóg nie obciął. I zrobiła krok do tyłu, i spadła...

– Co?!

– No, kurwa, jak co? No, spadła. Zniknęła. Ciało wyłowili po paru dniach. Bo była duża fala. Ryby ją zjadły do połowy. No, czujesz? Ta nasza mądra Krycha chciała mieć tylko dobre zdjęcie, nic więcej, a stała się karmą dla ryb!

– O Boże!

– Błażej zwariował po tym wszystkim. Z pół roku przebywał w szpitalu. Nawet na jej pogrzebie go nie było. A ja w kaplicy Stacha szturchnęłam, a płakałam jak głupia, i niemal na głos powiedziałam: „Jakie to życie jest głupie!”. Zazwyczaj tak marnie się kończy. A wiesz dlaczego? Bo zawsze się kończy i wszystkim bez wyjątku. A z Błażem nigdy potem nie umiałam już rozmawiać. Nigdy już nie był sobą. Osiwiał, zamilkł, twarz mu się zmieniła, ściągnęła. Przypominał bardziej własnego ojca, jakąś mroczną postać z obrazów Muncha. Stach mówił, że wyglądał jak myszokoczek. No, Mat, jeszcze jednego dymka? Przyniesi to cholerne kubańskie cygaro. Proszę!

– Daj już spokój, znowu ten smród się rozniesie.

– Zresztą nawet gdyby żyła, o czym ja dzisiaj miałabym z Kryską rozmawiać? O czym miałabym jej mówić?

O moich kotach, o Stachu? Daj spokój! Kryśka była nowoczesna, pięknie i bezczelnie żyła. Nie to, co ja, kocmoch... Kiedy szczytem marzeń Stacha było zabranie mnie na wczasy do Bułgarii, Krycha zwiedziła już Zakazane Miasto i jeździła na słońcach po Cejlonie. Och, mistrzyni życia. A jak ona gotowała...

Nagle Iga się ożywiła, uniosła powieki i wpatrując się we mnie, rzuciła radośnie:

– Mam pomysł! Pójdźmy jutro na spacer, na wydmy. Zgodzisz się? Akurat jest pora na dziką różę, narwiemy owoców, usmażymy konfitury! Nawet nie wiesz, jak dużo zawierają witaminy C. A ja muszę jeść dużo, dużo witaminy C. Bardzo dużo! Witamina C to pogromca komórek rakowych. To Hitler dla raka. Zrobię mu niezły holokaust.

– Jeśli tylko będzie odpowiednia pogoda...

– Jeśli tylko jutro dam radę zwlec się z łóżka... Oby...

